

MARGARET  
**ATWOOD**

ZBÓJECKA  
NARZECZONA



[fragment książki](#)

„Toxique”

---

## 2 • Tony

Tak jak zawsze Tony wstaje o wpół do siódmej. West śpi dalej, trochę pojękując. Prawdopodobnie krzyczy we śnie; dźwięki w snach są zawsze głośniejsze. Tony przygląda się jego twarzy we śnie, kanciastej zuchwie teraz złagodniałej, nieziemsko błękitnym oczom pustelnika, delikatnie zamkniętym. Cieszy się, że on jeszcze żyje; kobiety żyją dłużej od mężczyzn. Oni mają słabe serca, czasem po prostu przewracają się i chociaż ona i West nie są starzy – zupełnie nie – to jednak często kobiety w jej wieku budzą się rano i znajdują obok siebie martwego mężczyznę. Tony nie uważa tej myśli za niezdrową.

Cieszy się też w bardziej ogólnym sensie. Cieszy się, że West jest w ogóle na tej ziemi i w tym domu, że co noc kładzie się spać obok niej, a nie gdzie indziej. Pomimo wszystko, pomimo Zeni, on jest tu nadal. To wydaje się cudem. Któregoś dnia sama nie będzie w stanie w to uwierzyć.

Po cichu, tak aby go nie zbudzić, szuka okularów na nocnym stoliku i wyślizguje się z łóżka. Nakłada szlafrok, bawełniane skarpety, na nie podkolanówki z wełny i tak opatulone stopy upycha jeszcze w papucie. Zawsze ma zimne nogi, to oznaka niskiego ciśnienia. Papucie są w kształcie szopów, dawno temu dostała je w prezencie od Roz, a dlaczego, najlepiej wie sama Roz. Są dokładnie takie same jak te, które Roz w tamtym czasie dała swym ośmioletnim bliźniaczkom; mają nawet taki sam rozmiar. Teraz szopy są już nieco postrzępione, a jednemu brakuje oka, ale Tony nigdy nie potrafiła niczego wyrzucić.

Z opatulonymi stopami udaje się skrycie do pracowni na drugim końcu holu. Każdego ranka spędza tam godzinę; uważa, że dzięki temu koncentruje myśli. Pracownia wychodzi na wschodnią stronę, więc łapie trochę słońca, jeżeli akurat jest. Dzisiaj jest.

W pracowni są nowe zielone zasłony w palmy i egzotyczne owoce, do tego fotel z poduszkami z takim samym deseniem. Wzór pomogła jej wybrać Roz; namówiła ją do zapłacenia ceny, która była wyższa niż ta, na którą zdecydowałaby się Tony, gdyby była sama. „Słuchaj, kochanie – mówiła Roz. – To jest okazja! A przede wszystkim to będzie znajdować się w miejscu, w którym myślisz! To twoje środowisko mentalne! Wyrzuć te nudne i stare niebieskie żaglówki! Jesteś to sobie winna”. Są takie dni, kiedy Tony jest pod wrażeniem powojów i pomarańczowego mango czy cokolwiek to jest, ale dekoracja wnętrza ją onieśmiela i nie może się oprzeć znawstwu Roz.

Swobodniej czuje się z pozostałymi elementami wystroju pracowni. Książki i gazety leżą poskładane w stosy na dywanie; na ścianie wisi reprodukcja *Bitwy pod Trafalgarem* i jeszcze jedna – przedstawiająca Laurę Secord w nieprawdopodobnej bieli, prowadzącą swą mityczną krowę przez linie Amerykanów, by ostrzec Brytyjczyków w wojnie 1812 roku. Sterty wojennych pamiętników z zagiętymi rogami, zbiory listów i zbrązowiałe woluminy reportaży z frontu dawno zapomnianych dziennikarzy upchnięte są w oliwkowej biblioteczce obok kilku egzemplarzy dwóch wydanych książek Tony: *Pięć zasadzek* i *Cztery przegrane procesy*. „Drobiazgowo przestudiowane szczegóły, odświeżająco nowa interpretacja” – chwałą recenzenci na okładkach książek. „Sensacyjność, zbyt rozbudowane dygresje, obsesyjne szczegóły” – oceniają recenzje niezacytowane. Tony o sowich oczach i elfim nosie, o twarzy młodszej niż teraz, wybałusza oczy z tylnej strony okładki, marszcząc lekko brwi, by wyglądać jak osoba ważna.

Poza biurkiem ma w pracowni deskę kreślarską z wysokim obrotowym stołkiem, który sprawia, że jest wyższa. Na tej desce sprawdza prace semestralne studentów; lubi wspiąć się wysoko na stołek

i machając krótkimi nogami, poprawiać te prace na pochyłej desce, z odpowiedniej odległości, zupełnie jakby malowała. Prawda jest taka, że robi się dalekowidzem, chociaż zawsze było odwrotnie. Pisane jej są okulary dwuogniskowe.

Poprawia prace lewą ręką, używając różnokolorowych ołówków, które trzyma między palcami prawej dłoni zupełnie jak pędzle: czerwonego używa do uwag negatywnych, niebieskiego do pozytywnych, pomarańczowego do błędów ortograficznych, a fiołkowego w kwestiach spornych. Czasami zmienia rękę. Kiedy skończy sprawdzać jedną pracę, zrzuca ją na podłogę, powodując wywołujący zadowolenie podmuch. By pokonać nudę, nieraz głośno czyta kilka zdań wspak. „Hcaigolonhcet hcyczązcindowazłópsw o akuan ot einjow o akuan”. Jakież to prawdziwe. Powtarzała to sobie wiele razy.

Dzisiaj poprawia szybko, dzisiaj jest zsynchronizowana. Lewa ręka wie, co robi prawa. Jej dwie połowy nakładają się; jest tylko mały półcień, przesunięcie o mały kąt.

---

Tony poprawia prace semestralne do za piętnaście ósma. Słońce za-lewa pokój ozłocony przez żółte liście przed oknem; w górze przelatuje odrzutowiec; ulicą zbliża się śmieciarka, hałasując niby czołg. Tony słyszy ją, pospiesznie ześlizguje się w kapciach po schodach, wpada do kuchni, wyciąga z kubła plastikowy worek, zakręca go dookoła, biegnie do drzwi frontowych i pokonuje stopnie werandy, podciągnąwszy poły szlafroka. Żeby dogonić ciężarówkę, musi przebiec tylko krótki odcinek. Mężczyźni uśmiechają się do niej; widywali ją już wcześniej w szlafroku. Śmieciami ma się zajmować West, ale zapomina.

Wraca do kuchni i robi herbatę; rozgrzewa imbryk, odmierza dokładnie liście, sprawdza czas zaparzania na zegarku o dużych cyfrach. Przyrzędzania herbaty nauczyła ją matka; to jedna z niewielu użytecznych rzeczy, jakich nauczyła Tony. Umie parzyć herbatę, odkąd skończyła dziewięć lat. Pamięta, jak stała na kuchennym taborecie, odmierzała i nalewała herbatę, uważnie balansując, zanosila

filizankę na górę, gdzie matka leżała w pościeli, zaokrąglona hałda, biała niczym śnieżna zaspą. „Jak miło. Postaw tutaj”. Później znajdowała filizankę zimną i nadal pełną.

Precz, matko, myśli Tony. „Oktam, zcerp”. Wygania ją, nie po raz pierwszy.

West zawsze pije herbatę, którą robi Tony. Zawsze przyjmuje to, co ona ofiaruje. Kiedy Tony idzie na górę z filizanką dla niego, on stoi przy oknie i patrzy na zaniedbany i opuszczony jesienny ogród. (Oboje zobowiązują się zasadzić coś, teraz, później, a żadne z nich tego nie robi). West już się ubrał w dżinsy i gruby dres z napisem „Scales and Tails” i żółciem. To symbol pewnej organizacji troszczącej się o ocalenie płazów i gadów, która – jak sobie wyobraża Tony – nie ma jeszcze zbyt wielu zwolenników. Tyle jest dzisiaj innych rzeczy, które trzeba ocalić.

– Proszę, twoja herbata – mówi.

West zgina się w kilku miejscach, niczym wielbłąd przy siadaniu, aby ją pocałować. Ona wspina się na palce.

– Przepraszam za śmieci – mówi West.

– W porządku – odpowiada Tony – nie były ciężkie. Jedno jajko czy dwa?

Kiedyś, podczas porannego wyścigu ze śmieciami, zaczepiła nogą o połę szlafroka i runęła głową w dół ze stopni przed drzwiami. Na szczęście wylądowała na worku, tylko że worek pękł. Nie wspominała o tym Westowi. Zawsze z nim uważa. Wie, jak bardzo jest kruchy, jak łatwo się załamuje.

### 3

Tony gotuje jajka i myśli o Zeni. Przeczucie? Nie, wcale. Często myśli o Zeni, częściej niż kiedy Zenia żyła. Martwa Zenia stanowi mniejsze zagrożenie, nie trzeba jej odganiać, spychać gdzieś między pajęczyny w kącie, gdzie Tony trzyma swoje cienie.

Chociaż nawet imię Zeni wystarczy, by wywołać stare uczucia wściekłości, poniżenia i zawstydzającego bólu, albo przynajmniej ich echo. Prawda jest taka, że w pewnych porach – wcześniej rano, w środku nocy – Tony nie może uwierzyć, że Zenia faktycznie nie żyje. Mimo swego racjonalnego podejścia do życia, Tony ciągle spodziewa się, że ona przyjdzie, wejdzie przez niezamknięte na klucz drzwi, wespnie się przez niedbale uchylone okno. Wydaje się niemożliwe, by ona po prostu przestała istnieć i by nic nie zostało. Było jej zbyt wiele; cała ta złośliwa witalność musiała dokąś się przenieść.

Tony wkłada dwa kawałki chleba do opiekacza i szpera w szafce w poszukiwaniu dżemu. Zenia oczywiście nie żyje. Zniknęła i przepadła na zawsze. Jak kamień. Za każdym razem, gdy Tony tak myśli, powietrze wypełnia jej płuca, a potem uchodzi z długim westchnieniem ulgi.

Ceremonia pogrzebowa Zeni odbyła się pięć lat temu albo cztery i pół. Był marzec. Tony doskonale pamięta ten dzień, mokry i szary, później zaczął jeszcze padać śnieg z deszczem. Wtedy najbardziej dziwiło ją to, że przyszło tak mało ludzi: głównie mężczyźni z postawionymi kołnierzami płaszczy. Unikali pierwszego rzędu, starając się kryć jeden za drugim, żeby nikt ich nie zobaczył.

Wśród tych mężczyzn nie było zbiegłego męża Roz, Mitcha – jak Tony zauważyła z ożywieniem i pewnym rozczarowaniem, chociaż cieszyła się ze względu na Roz. Wyczuwała, jak Roz wyciąga głowę i przebiega wzrokiem po twarzach; musiała się go tu spodziewać i co wtedy? Wtedy byłaby scena.

Charis też się rozglądała, ale w mniej natrętny sposób. Gdyby wśród tych mężczyzn był Billy, Tony nie potrafiłaby go rozpoznać, ponieważ nigdy go nie spotkała. Pojawił się i zniknął w przerwie, kiedy nie kontaktowała się z Charis. Wprawdzie Charis pokazała jej zdjęcie, ale było niedobre – Billy miał uciętą głowę, w dodatku nosił wtedy brodę. Z biegiem czasu mężczyznom bardziej niż kobietom zmieniały się twarze albo bardziej potrafili je zmieniać, tak jak chcieli. Zapuszczali zarost albo golili go.

Tony nie znała nikogo na zdjęciu, oprócz Roz i Charis, oczywiście. Musiały to zobaczyć za wszelką cenę, powiedziała Roz. Chciały zobaczyć koniec Zeni, upewnić się, że jest teraz w pełni (wyrażenie Tony) unieszkodliwiona. Charis określała to słowem: „spokojna”, Roz – „kaput”.



Ceremonii brakowało porządku. Wydawała się jakby przypadkowo sklecona, poprowadzona w kaplicy pogrzebowej z ociężałą, napuszoną niezdarnością, która przepęłniłaby Zenię pogardą. Było kilka wiązanek kwiatów, białe chryzantemy. Tony zastanawiała się, kto mógł je przysłać. Ona sama nie przyniosła żadnych kwiatów.

Mężczyzna w granatowym garniturze, który przedstawił się jako adwokat Zeni – ten sam, który zadzwonił do Tony z informacją o pogrzebie – przeczytał krótki list wychwalający zalety Zeni. Na pierwszym miejscu postawił odwagę, chociaż Tony nie uważała śmierci Zeni za szczególnie odważną. Zenia wyleciała w powietrze podczas jakiejś napaści terrorystycznej w Libanie; nie była celem, po prostu znalazła się w tym miejscu. Niewinny przechodzień, powiedział adwokat. Tony sceptycznie odniosła się do obu tych słów: „niewinny” nigdy nie był ulubionym przymiotnikiem Zeni w stosunku



do własnej osoby, a przechodzenie obok nigdy nie było jej typowym zajęciem. Adwokat nie powiedział jednak, co faktycznie tam robiła, na bezimiennej ulicy w Bejrucie. Zamiast tego stwierdził, że długo będziemy ją pamiętać.

– Cholera, pewnie, że będziemy – szepnęła Roz do Tony. – A przez odwagę rozumiał wielkie cycki.

Tony uznała, że brak w tym smaku, gdyż wielkość cycków Zeni z pewnością nie stanowi istotnej już kwestii. Według niej Roz czasami posuwa się za daleko.

Zenia obecna była jedynie duchem, jak powiedział adwokat, a także w postaci prochów, które teraz zostaną przeniesione na Mount Pleasant Cemetery i tam pogrzebane. Rzeczywiście użył słowa „pogrzebane”. Wolą Zeni było, zgodnie z testamentem, aby jej prochy zostały pogrzebane pod drzewem.

Pogrzebanie było tak niepodobne do Zeni. Tak samo drzewo. Właściwie to niepodobne do Zeni było sporządzenie testamentu czy w ogóle posiadanie adwokata. Cóż, nigdy nic nie wiadomo, ludzie się zmieniają. Na przykład, dlaczego Zenia umieściła je trzy na liście osób, które należy poinformować w razie jej śmierci? Czy to skrucha? A może jeszcze jeden żart? Jeśli tak, to Tony nie rozumiała jego sensu.

Adwokat także nie potrafił pomóc. Miał jedynie listę nazwisk albo tylko tak twierdził. Tony nie spodziewała się, aby mógł w kwestii Zeni cokolwiek wyjaśnić. Jeżeli już, to powinno być odwrotnie.

– Czy nie była pani jej przyjaciółką? – zapytał oskarżycielskim tonem.

– Tak – odpowiedziała Tony – ale to było dawno temu.

– Zenia miała wspaniałą pamięć – odparł prawnik i westchnął. Tony słyszała już kiedyś takie westchnięcia.



To Roz nalegała, aby udać się na cmentarz po ceremonii. Zawiozła je swoim samochodem, tym dużym.

– Chcę zobaczyć, gdzie ją chowają, żebyśmy mogła wyprowadzać tam psy – powiedziała. – Nauczę je sikać na to drzewo.

– Drzewo tutaj nie jest winne – odezwała się oburzona Charis. – Nie ma w tobie miłosierdzia.

Roz zaśmiała się.

– Racja, kochana. Robię to dla was!

– Roz, ale ty nie masz psa – rzekła Tony. – Ciekawe, co to za drzewo.

– To kupię, tylko w tym celu – odparła Roz.

– Morwa – wyjaśniła Charis. – Stoi w kruchcie i ma tabliczkę.

– Nie rozumiem, jak ono będzie rosnać – powiedziała Tony. – Jest za zimno.

– Będzie – oświadczyła Charis – jeżeli nie puściło jeszcze pąków.

– Mam nadzieję, że uschnie – rzekła Roz. – O, nie! Ona nie zasługuje na drzewo.

Prochy Zeni umieszczono w szczelnie zamkniętym, metalowym pojemniku, prawdziwa mina lądowa. Tony widywała już takie pojemniki; przygnębiały ją. Brakowało im majestatu trumien. Uważała, że ludzie wewnątrz nich są skondensowani jak mleko.

Myślała, że nastąpi rozsypanie prochów, doczesnych szczątków, jak je nazywał adwokat, ale pojemnika nie otwarto i prochy nie zostały rozrzucone. (Później, po ceremonii, Tony miała czas, by zastanawiać się, co naprawdę było w tym pojemniku. Piasek chyba albo coś odrażającego jak psie kupy lub zużyte kondomy. To byłby typowy gest Zeni w czasie, kiedy Tony ją poznała).

Stali kręgiem w drobnej, zimnej mżawce, pojemnik został zakopany, nad nim zasadzona morwa. Przykryto wszystko ziemią. Nie padły żadne ostateczne słowa, żadne słowa pożegnania. Mżawka zaczęła marznąć, mężczyźni w płaszczach zawahali się, potem powoli odeszli do zaparkowanych samochodów.

– Mam niepokojące wrażenie, że o czymś zapomnieliśmy – powiedziała Tony, gdy odchodziły.

– Cóż, nie było żadnych śpiewów – odezwała się Charis.

– Na przykład o czym? – podjęła Roz. – O wbiciu jej kołka w serce?

– Może Tony chodziło o to, że była ludzką istotą – zastanawiała się Charis.

– Ludzką istotą, na mą pupę! – zawołała Roz. – Jeżeli ona była ludzką istotą, to ja jestem królową Anglii.

Tony chodziło o coś mniej dobrotliwego. Myślała, że od tysięcy lat, kiedy umierali ludzie – szczególnie ci potężni, wzbudzający strach – ci, którzy pozostawali przy życiu, przechodzili udrękę. Podrzynali gardła swym najlepszym koniom, zakopywali żywcem niewolników i ulubione żony, wylewali na ziemię krew. Nie była to żaloba, ale zadośćuczynienie. Chcieli pokazać swą dobrą wolę bez względu na to, jak udawane to były czyny, ponieważ wiedzieli, że duch zmarłego będzie im zazdrościł życia.

Może powinnam posłać kwiaty, pomyślała Tony. Kwiaty by nie wystarczyły, nie Zeni. Wysztyżałaby je. Potrzeba było misy krwi. Misy krwi, bólu, jakiejś śmierci. Wtedy może zostałaby w grobie.

Tony nie powiedziała Westowi o pogrzebie. Mógłby pójść i rozkleić się albo nie poszedłby, a wtedy czułby się winny lub byłby zły, że poszła bez niego. Wiedział jednak, że Zenia nie żyje; czytał w gazecie – mała, prostokątna, ukryta gdzieś w środku notatka: „śmierć Kanadyjki w ataku terrorystycznym”. Kiedy byli młodzi, „atak” kojarzył się z zabawą. West nic nie powiedział Tony, ale ona znalazła stronę z wyciętym artykułem. Była między nimi cicha umowa, aby nigdy nie wspominać Zeni.



Tony podaje jajka w ceramicznych podstawkach w kształcie kurek, które kupiła we Francji kilka lat temu. Francuzi lubią wyrabiać naczynia w kształcie tego, co będzie w nich podawane; kiedy przychodzi do jedzenia, niczego nie owijają w bawełnę. Ich karty dań przypominają nocny koszmar wegeterianina – serca czegoś tam, mózdzek czegoś innego. Tony docenia taką bezpośredniość. Ma francuską paterę do ryb, także w kształcie ryby.

W zasadzie zakupy to nie jej specjalność, ale ma słabość do pamiątek. Te podstawki do jaj kupiła w pobliżu pola bitwy, gdzie rzymski generał Mariusz starł sto tysięcy Teutonów – albo dwieście tysięcy, w zależności od tego, kto prowadził kronikę – na wiek

przed narodzeniem Chrystusa. Wystawiwszy na przynętę mały kontyngent swych sił przed wojska wroga, sprowadził je w wybrane przez siebie miejsce rzezi. Po bitwie trzysta tysięcy Teutonów zostało sprzedanych do niewoli, a dziewięćdziesiąt tysięcy pozostałych zrzucono – lub też nie – w przepaść z góry Świętej Wiktorii, za namową prawdopodobnie syryjskiej prorokini imieniem – lub też nie – Marta. Mówiono, że nosiła purpurowe szaty.

Ten szczegół ubioru przekazywany był przez wieki ze szczególnym przekonaniem, pomimo niejasności innych fragmentów opowiadania. Sama bitwa jednakże z całą pewnością została stoczona. Tony zbadała teren; płaska równina otoczona z trzech stron górami. Niedobre miejsce na walkę w defensywie. Pobliskie miasto nosi nazwę Pourrières, a to za sprawą odoru gnijących ciał.

Tony nigdy nie wspomina (i nigdy nie wspomniała) Westowi o skojarzeniach związanych z tymi podstawkami do jajek. Byłby przerażony: nie tyle gnijącymi Teutonami, ile nią. Kiedyś nadmieniła, że potrafi zrozumieć tych starych królów, którzy używali czaszek swych wrogów do picia wina. To był błąd; West chce myśleć o niej jako o miłej i dobrej. I litościwej oczywiście.

Tony zrobiła kawę, sama zmieliwszy ziarenka; podaje ją ze śmietanką, na przekór cholesterolowi. Prędzej czy później, kiedy ich arterie zamulą się, będą musieli zrezygnować ze śmietany, ale jeszcze nie teraz. West siedzi i je jajko; jest tym zaabsorbowany niczym szczęśliwe dziecko. Jaskrawe, podstawowe kolory – czerwone kubki, żółty obrus, pomarańczowe talerze – stwarzają w kuchni wrażenie placu zabaw. Jego siwe włosy to prawdziwy fuks, nieobliczalna transformacja, która spadła na niego podczas nocy. Kiedy go poznała, był blondynem.

– Dobre jajko – mówi. Takie drobiazgi jak dobre jajka sprawiają mu rozkosz, takie drobiazgi jak niedobre jajka przygnębiają go. Łatwo go zaspokoić, ale trudno obronić.

West, Tony powtarza w myślach. Od czasu do czasu powtarza jego imię, bezgłośnie, jak zaklęcie. Kiedyś nie był Westem.

Kiedys – trzydzieści, trzydzieści dwa lata temu? – był Stewartem, dopóki nie powiedział jej, jak bardzo nie znosi, kiedy nazywają go „Stew”<sup>\*</sup>; przeczytała więc jego imię wspan i od tamtej chwili jest Westem. Trochę przy tym oszukała; prawdę mówiąc, to powinno wyjść „Wets”<sup>\*\*</sup>. Tak właśnie jest, kiedy się kogoś kocha, myśli Tony. Trochę się oszukuje.

– Co masz dzisiaj w planie? – pyta West.

– Chcesz jeszcze grzanek? – pyta Tony. On kiwa głową, ona wstaje i podchodzi do opiekacza; po drodze zatrzymuje się, aby pocałować go w głowę, wdychając znajomy zapach włosów i szamponu. Rzedną mu włosy; wkrótce będzie miał tonsurę niczym mnich. Przez tę chwilę jest wyższa od niego; nieczęsto zdarza jej się taki widok z góry.

Nie ma potrzeby mówić Westowi, z kim będzie jeść lunch. On nie lubi ani Roz, ani Charis. Denerwują go. Czuje – i słusznie – że wiedzą o nim zbyt wiele.

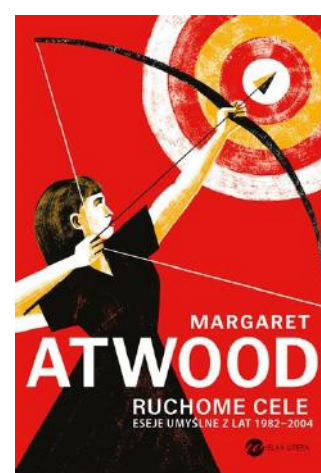
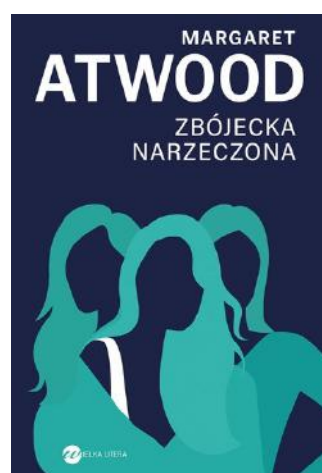
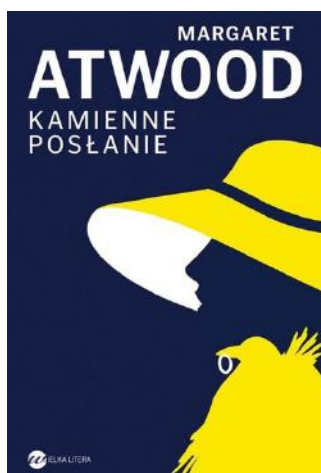
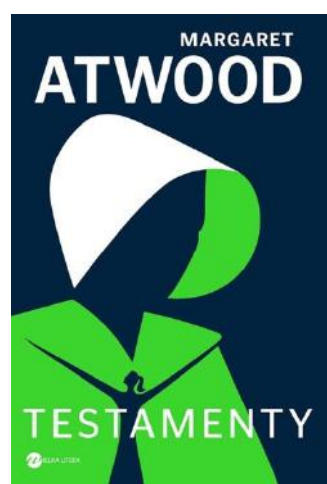
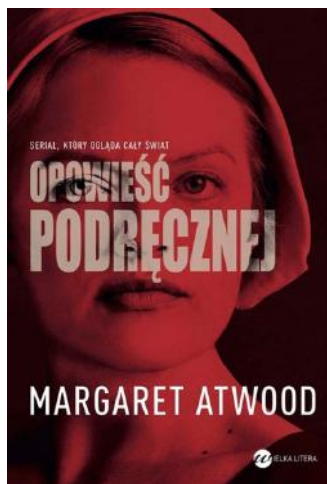
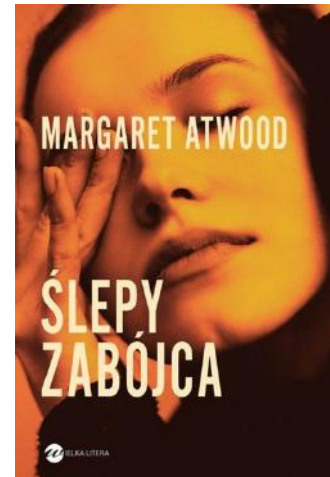
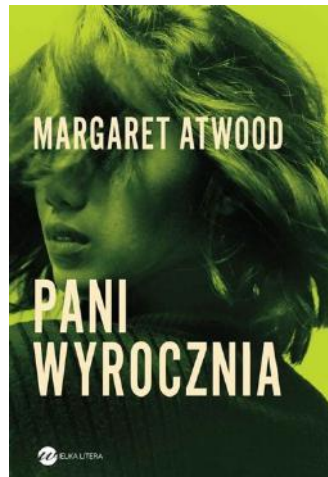
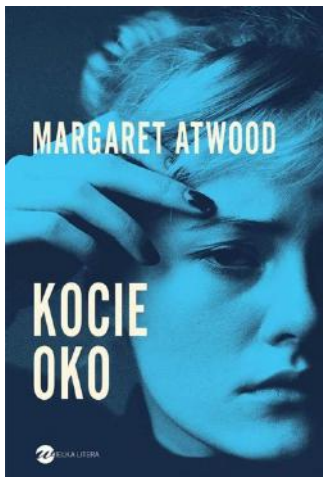
– Nic szczególnego – odpowiada Tony.

---

\* Stew (ang.) – imię męskie; gulasz. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

\*\* Wets – po angielsku znaczy „on moczy”.

Mogą Cię także zainteresować:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)  
Zapraszamy na [wielkalitera.pl](http://wielkalitera.pl)